№ 182. Warszawa, Środa 2/14 Lipca Rok 1858.

KRONIKA
WIADOMOŚCI KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH.

Opłata prenumeracyjna na Kronikę Wiadomosci Krajowych i Zagranicznych, wynosi: a) w Warszawie rocznie: rs. 7. kop. 20 (złp. 48.; b) kwartalnie rs. 1 kopiejek 80 (złp. 12); miesięcznie kop. 60 (złp. 4.)

Na prowincji w Królestwie z pocztą rocznie rs. 12 (złp 80); kwartalnie rs. 3 (złp. 20). W Cesarstwie zaś sama opłata co na prowincji w Królestwie, z dodaniem rs. 4 rocznie lub 1 kwartalnie za koperty.

Jutro Rozesłanie Ap.
Wschód słońca o g. 3 m. 56.—Zach. o g. 8 m. 14.

Biuro Redakcji przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w domu Nro 391. naprzeciw Saskiego placu.

Dziś rano stopni ciepła 13. wczoraj w poł. ciep. 14
Wysokość wody na Wiśle stóp 2.

WIADOMOŚCI KRAJOWE.

Przez Rozkaz Cesarski do Zarządu wojennego, z dnia 13go czerwca, uwolnieni zostali: zostający w jeździe armji: naczelnik wojenny gubernji Lubelskiéj, jenerał-major *Gostomiłow*, i pomocnik naczelnika wojennego gubernji Warszawskiéj, pułkownik *Wendorff*: obaj od pomienionych obowiązków, z pozostawieniem w jeździe armji.

Dyrekcja wyścigów konnych i wystawy zwierząt gospodarskich w Królestwie Polskiem.—Wielu członków Towarzystwa wyścigów konnych i wystawy zwierząt gospodarskich zalega dotąd w opłacie przypadających od nich składek, w ogólnéj za lat trzy summie rs. 2007, a zaległość ta za jeden rok bieżący, wynosi rs. 1131.

Taka obojętność z ich strony, nietylko stawia dyrekcję Towarzystwa w niemożności uczynienia zadość zobowiązaniom względem samych stowarzyszonych i innych osób zaciągnionym, ale nadto paraliżuje działania instytucji, która rozwijając racjonalną hodowlę zwierząt gospodarskich, ma jedynie na celu ogólne dobro kraju.

Przy zaprowadzeniu przed trzema laty nowéj administracji interessów towarzystwa, z radością widziała dyrekcja, jak ochotnie właściciele ziemscy przystępowali do stowarzyszenia; obecnie; zaś widzi się j iż w smutnéj konieczności przypomnienia im że nie dość jest rozpocząć dobrze, lecz potrzeba jeszcze wytrwać w dobrem; nie dość okazywać dobre chęci, ale trzeba je czynem wspierać. Chwilowe poparcie, oderwane usiłowania, żadnych instytucji nie posuwają naprzód cele bowiem ogólnego dobra, osiągają się jedynie wytrwałością i zjednoczeniem sił ogółu.

Z sprawozdania dyrekcji za rok 1857 wiadomo członkom towarzystwa, że brak funduszu nie dozwolił dopełnić kupna zwierząt i odbyć rozlosowania onych pomiędzy stowarzyszonych; rok bieżący niemniéj smutny przedstawiłby wypadek, jeśli składkujący, w opłatach zalegli, nie przejmą się całą ważnością obywatelskich zobowiązań dobrowolnie aa siebie przyjętych i nie pośpieszą z wniesieniem przypadających od nich należytości.

Obecną do stowarzyszonych odezwę czyni dyrekcja w przekonaniu, że członkowie zalegający w opłatach, uczują całą krzywdę jaką wyrządzają ogółowi nie dopełniając swych zobowiązań i ma nadzieję, że w jak najkrótszym czasie, postarają się oni zapewnić jéj środki do zakupu zwierząt i spełnienia w 'en sposób jednomyślnych życzeń towarzystwa.—Warszawa dnia 28 czerwca (10 lipca) 1858 r.—Prezes, Koniuszy dworu J. C. MOSCI. Rzeczywisty radca stanu, August hr. *Potocki.*—Sekretarz dyrekcji, *Budziszewski.*

Magistrat miasta Warszawy.— Gdy upłynął już termin przeznaczany do zaspokojenia opłaty klassycznéj przynależnéj za r. b., a znaczna liczba kontrybuentów zalega dotąd w téj opłacie, pomimo otrzymania za pośrednictwem kommissarzy administracyjnych jeszcze w końcu miesiąca marca r. b. bezpłatnych awizacji, przeto magistrat wzywa niniejszem kontrybuentów zalegających w namienionéj opłacie, ażeby z wniesieniem takowej pośpieszyli, i uprzedza, żo z dniem 8 (20) b. m. do zalegających jeszcze, exekucja zarządzoną zostanie. W czem dotycze opłaty klassycznéj, przynależnéj za rok bieżący od pp. właścicieli nieruchomości w m. Warszawie i przedmieściu Pradze, magistrat o obowiązku zaspokojenia takowéj w późniejszym czasie zawiadomi.—Prezydent, rzeczywisty radca stanu, *Andrault.*—Naczelnik kancellarji, *Luceński.*

WYSTAWA KRAJOWA SZTUK PIĘKNYCH.
I.

W krótkim przeciągu czasu, dwie w naszem mieście otworzono wystawy obrazów, a publiczność znęcona nowością, chętnie i gromadnie (przynajmniéj po dziś dzień jeszcze) zagląda do przybytków sztuki, z których jeden już od wiosny szeroko rozwiera podwoje dla artystów całéj Europy, drugi od kilku dni dopiero zaprasza w nizkie progi tylko krajowych malarzy.

P. Zmyoskiemu za urządzenie w ubiegłym kwartale, przy pomocy akcjonarjuszów, *Nieustającéj wystawy publicznéj* (wie wchodząc w jego osobiste widoki), należy się słuszna podzięka od wszystkich miłujących sztukę, on bowiem choć może i mimowoli, stał się pożądanym od dawna czynnikiem artystycznego ruchu zupełnie do téj pory obcego Warszawie. Boć koczujące od czasu do czasu po zajazdach gal erje brokanterów z zamorusanemi dziećmi, pseudo Rafaelów, Tycianów, Corregiów, Rubensów mogły nas tylko pochrzczonemi szumnie szmaty niekorzystnie łudzić na chwilę; a doroczne w szkole sztuk pięknych wystawy z próbkami talentu i postępu uczącéj się małowéj młodzieży, karmić nadziejami na przyszłość, ale nigdy zadowalniać chętnych do kupna amatorów, wpływać na wyrobienie smaku w chciwych sądu widzach, a tem mniéj oddziaływać pomyślnie na kiełkującą zaledwie w naszym kraju sztukę.

Wystawa publiczna dla artystów, jest że tak powiem *areną*, w któréj każdy talentem i nauką zdobywa sobie przynależne stanowisko w sztuce, poznaje siły własne w porównaniu z drugimi, bada tajemnice techniki na udoloniejszych wzorach i jeżeli nie posiada środków do wyjazdu za granicę, to przy tych pomocach już dostatecznie postępować może.

Wzięcie się energiczne artystów naszych do utworzenia o własnych siłach Wystawy krajowéj, i otwarcie takowéj w krótkim przeciągu czasu świadczy iż ona musiała być dla nich konieczną, a tłumne nawiedzanie jéj przez publiczność, przekonywa że podobny przybytek Sztuk pięknych był pożądanym oddawna dla mieszkańców naszego miasta i całego kraju.

W dniu 2 b. m. Najwyższe władze miejscowe zaszczyciły swą obecnością otwarcie wystawy krajowéj sztuk pięknych. JW. zarządzający częścią cywilną w królestwie polskiem jenerał-adjutant *Paniutyn* i JJWW. radca tajny *Muchanów*, dyrektor główny prezydujący w kommissji rządowéj spraw wewnętrznych i duchownych, radca tajny *Łęski* dyrektor główny prezydujący w kommissji przychodu i skarbu, radca tajny *Eljaszewicz*, radca tajny *Łaszczyński* gubernator cywilny Warszawski, prezes towarzystwa rolniczego Andrzéj hr. *Zamoyski*, wraz z innymi dygnitarzami rządowemi, raczyli łaskawie przybyć na zazny. He! he! a kiedy się stanie to wszystko i Pan Bóg nie odmówi swéj łaski, już ja ci ręczę za to, że żaden hetman cię tak nie umiejedzie ludźmi znających się na sztuce.

SODALIS MARIANUS.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
ZE STARYCH XIĄG I PAPIERÓW SPISANA,
przez
Zygmunta Kaczkowskiego.
(Ciąg dalszy).
(Patrz Nr. Kroniki 181.)

Na tę uwagę Jerzy trochę posmutniał, ale miecznik zaczął zaraz na nowo:

— Cóż tedy myślisz? Gospodarstwo nie, służba hetmańska nie, więc co innego. Ale co? powiedz mi twoje zdanie, bo chociaż ja także już myślałem o tobie, wżdy nie chciałbym ci preopinować.

— Ej! co tu mówić! — rzekł dosyć smutno młodzieniec, — już ci ja wiem, coby było dla mnie najlepsze i podobno się wcale nie mylę; ale co to z projektu, jak nie ma środków?

— No, nic nie szkodzi, powiadaj tak, jakbyśmy mieli szkatułę złota.

— Otóż ja myślę, — rzekł ośmielony młodzieniec, — że nicby dla mnie lepszego nie było, jak w cudze kraje pojechać, tam się douczyć i tam posłużyć.

— Otóżto! — zawołał miecznik, — otóżto rzecz! Tak mnie było zrobić, kiedym z wojny powrócił; tak też dziś zrobić i tobie. Bo jaka to piękna jest rzecz! Masz zacne imie i relacje nie gorsze, — twoją pilną nauką i pobożnością, a nareszcie i tą szczęśliwą bitwą z Flemingiem, zyskałeś sobie już wcale piękną rekommendację,—kiedybyś jeszcze do tego w dobréj szkole postronnéj nauk dokończył, w pięknem wojsku postronnem posłużył i potem wrócił,—a to cobie łaski hetmańskiéj albo i czyjéj? Otóż to moja rada, zabrać się jako najśpiesznéj i jechać, nie do Niemiec, nie do Italji, ani do Niderlandów, jeno prosto do Francji, tam słuchać nauk wojskowych, tam się starać o towarzystwo w chorągwi i służyć. Służąc, nie zaniedbywać nauki, przypatrywać się pilnie rządom, sprawom publicznym, sądom, domom i obyczajom i ze wszystkiego jako pszczółka miodek wybierać,—służyć zaś wiernie, starać się o zasługi, o odznaczenie, o dobrą przyjaźń i zachowanie, — a kiedy się tego wszystkiego przybiera porcja, dopiero wrócić i złożyć to na ołtarzu ojczyzny. He! he! a kiedy się stanie to wszystko i Pan Bóg nie odmówi swéj łaski, już ja ci ręczę za to, że żaden hetman cię tak nie umieści, jak Rzeczpospolita. Już ci natenczas żadnéj nie trzeba będzie protekcji, bo i funkcja się znajdzie, i awanse pobiegną, i fortuna się zdarzy, i wszystko, czego tylko serce zapragnie. I stanie ciebie Bogu na chwałę i na pociechę ojczyznie. A kiedy w czasie, po długich latach, przyjdzie ci miejsca drugim ustąpić, to nie będziesz schodził ze świata jak dłużnik obstąpiony wierzycielami, z których każdy zabiera swoje, jeno jako zacny pracownik, który sobie powiada: — Uczyniło się, na co sił stało, a co się winno, to tylko samemu sobie.

Aż się uśmiechnął na to uradowany młodzieniec i rzekł:

— Ej! dobrodzieju kochany! złote to rady są twoje. Gdyby je słyszał mój ojciec, jakżeby cię błogosławił!

— Hm! — mówił miecznik uśmiechając się z lekka, — a czy mówiłeś kiedy co o tém z ojcem?

— Tak tam, — rzekł Jerzy, — coś się już wspominało i o tém?

— No, — rzecze pan Bobrowniki,— otóż

proszenie artystów o godzinie 3-éj do lokalu wystawy i poświęcić niemało czasu na oglądanie obrazów zebranych naprędce a będących po większéj części pracami byłych uczni szkoły sztuk pięknych, wzrastającéj ciągle pod ich opiekuńczem okiem.

Wystawa krajowa składa się obecnie z trzech sal, mieszczących w sobie przeszło 90 płócien. Liczba ta i tak dość wielka, wzrośnie zapewne jeszcze, skoro wezwani artyści polscy przebywający za granicą, pospieszą z nadesłaniem swoich obrazów.

W pierwszéj sali na samym wstępie zatrzymuje widza *Obrona Częstochowy*, obraz dużych rozmiarów Januarego Suchodolskiego, pełen ruchu i effektu. Na wałach x. Paulin Kordecki zagrzewa nieliczny hufiec do obrony świętego miejsca, obok niego z jednéj strony jakiś szlachcic dzierży chorągiew z cudownym obrazem Bożéj Rodzicielki i pachole uderza w bęben zachętą bojową, z drugiéj zatrzymuje się i przyklęka Piotr Czarnecki, szabla błyszczy mu w ręku, zapał płonie w źrenicach utkwionych w cudowny sztandar obrońców kościoła. Szwedzi drą się przez wyłom na wały, dziki zapał i pewność zwycięztwa nad garstką zamkniętą w nieobronnym klasztorze, maluje się na ich twarzach. Zamięszanie ogromne, Szlachta nieżartem *praży* z murów, jak powiada pan Pasek... Lewa strona obrazu nic nie pozostawia do życzenia; te trupy szwedzkie w kurzu, dymie i gorącu bojowem poza rozwalonemi koszami, te waleczne postacie rażące z murów na prześcigi pociskami idących do szturmu, ten szlachcic jowialny pokazujący figę dumnemu liczbą najezdnikowi, oto szczegóły silnie sympatyczne, gorączkowo przemawiające do widza. Bo też tego rodzaju artysta co pan Suchodolski *farbami* zastępuje *słowo*, wskrzeszając niemi na płótnie najdroższe dla nas wspomnienia.

Gwiazda Zaranna obraz p. Zarzyckiego jest jednym z tych jakie nie często zdarzyło nam się napotkać w pracowni artysty. Dzisiaj bowiem rzadko kiedy obraz bywa dziełem wiary i miłości, płótna nowe są po największéj części jak dekoracje wymalowane na effekt, zastosowane do chwilowego gustu; artysta naszego wieku stosuje się zazwyczaj do przelotnych wymagań ogółu i cieszy się efemeryczną sławą, nieidzie mu o niewiędniejące poza grobem laury, ale o chleb powszedni na żywot doczesny.Gwiazda Zaranna p. Zarzyckiego, chociaż nie jesteśmy zwolennikami emaljowego sposobu malowania olejem na płótnie, po kilka kroć dziwnie nas przyciągała ku sobie, i zawsze opuszczaliśmy ją pokrzepieni wiarą i swobodni od ziemskich myśli, tak łatwo czepiających się mózgu w każdéj galerji.

Nad Gwiazdą zaranną stoi w jednem świetle *Studjum pana Hadziewicza*, głowa męzka, namalowana śmiało, wprawną ręką mistrza, co niebłądziła za *złotym* kolorem po paletrze, ale umiejętnie kładła gorące półtony i odważnie dawała czystym cynobrem reflexy. Pan Hadziewicz, zasłużony professor w szkole sztuk pięknych, artysta, jakiego przeciwstawić możemy mistrzom Zachodu, uznany dostatecznie, chcąc być wszędzie wzorem dla młodych malarzy, dla ich korzyści zapewne dał to małe studjum na wystawę krajową.

Portret pana Bonawentury Dąbrowskiego, jeszcze w roku 1846 chlubnie oceniony został na wystawie publicznéj. Artysta otrzymał zań medal złoty, nasze więc słowo nic nie przyda jego wartości.

Święty Jan Chrzciciel pana Simlera, rzecz pod względem malowania zasługująca na uwagę, ręce śliczne, mianowicie prawa, wskurczu z muszlą, narysowana znakomicie, ale całéj postaci zbywa na świętym charakterze, twarzy na ascetycznym wyrazie, z którego można by odgadnąć autora tajemniczych xiąg Apokalipsy. W każdym razie, obraz ten uważamy za wyborne studjum.

Grosz czynszowy p. Głębockiego nie jest bez zalet, główka w półcieniu stojącego po za Chrystusem niepozostawia nic do życzenia, zbywa tylko całéj kompozycji na ogólnéj harmonji a żółtéj draperji na lekkości.

Św. Kunegundę p. A. Dąbrowskiego pamiętamy jeszcze z wystawy 1846 r. przez ten dwunastoletni przeciąg czasu, obraz p. D. podstarzał się cokolwiek, akcessorja podnoszące niegdyś jego wartość straciły na swéj świeżości.

W obrazie *Emaus* p. Kurelli b. ucznia szkoły sztuk pięknych, widziemy bardzo wiele dobrego, głowa Chrystusa wprawnie trzymana w ciepłym przezroczystym tonie i ręka wniesiona narysowane dobrze, szkoda że dwie głowy na lewéj stronie płótna tak są traktowane szkicowo; przez ich zaniedbanie traci całość pomimo świetnego kolorytu. Więcéj wykończonym od Emaus jest drugi obraz tegoż artysty *Grosz czynszowy*, w nim figury rysowane poprawnie, pełne godności i charakteru. Życzyćby należało ażeby p. Kurella sumiennie studjował naturą jeżeli pragnie chlubnie powiększyć nieliczne u nas grono artystów biorących temata z historji świętéj do swych kompozycji.

P. Sypniewski postacie dziejowe przenosi na płótna. Dwa jego obrazy *pendant: hetman Koniecpolski* i *hetman Sanguszko*, pochlebnie mówią o talencie artysty; w pierwszym figury na hintergruncie, w drugim koń pod hetmanem Sanguszko zasługują na pochwały.

W obrazie z poematu Malczewskiego przedstawiającym Miecznika z Marją *pod staremi lipami*, zwraca uwagę cudny dworek szlachecki.

Familja Szkocka obrazek malutki p. Pillatego, malowany przed trzema laty, zachwyca żywością koloru i elegancją rysunku, a choć zmusza widza do niewygodnéj pozycji, zatrzymuje go przy sobie na długo. Dziwny kontrast pod każdym względem tworzy ten obrazek z innemi pracami tegoż artysty umieszczonemi w drugiéj sali, o których powiemy poniżéj.

Znany pejzażysta pan *Breslauer* professor w szkole sztuk pięknych, trzema krajobrazami ozdobił wystawę krajową. Z tych *Widok Saltzburga* wedle zdania znawców mógłby zająć miejsce w najpierwszéj galerji. Prześliczne oddalenie pełne światła i ciepła podnosi bardzo w tym obrazie pierwszy plan, który (ośmielamy się zrobić uwagę) jest za silny i drzewa na nim traktowane za drobnostkowo, a z tego powodu za ciężkie. W krajobrazie z *Okolic Drążewa* łudzi oko żywa natura, oddalenie, woda i niebo. Mniéj zalet a też same wady co *Saltzburg* posiada *Widok miasteczka Krasnosielska.*

Pejzaże p. Szermentowskiego przenoszą myśl ze stołecznego gwaru w ciche ustronia nad szare brzegi Wisły, do wiejskiego kościółka, w sosnowe lasy, na łąki, na płaszczyzny Wołynia. Drzewa na nich szumią znanemi nam szepty, niebo chmurzy się posępnie lub wypogadza w jaskrawych szatach zachodzącego słońca. Pejzaż p. Szermentowskiego dla wielu jest tém w malarstwie, czém piosnka Lenartowicza w poezji. Krajobrazy tego młodego artysty pomimo zaniedbania częstokroć rażącego w wykończeniu, są sielankami wyśpiewanemi olejem na płótnie. W pierwszéj sali znajduje się jego *krajobraz Wołyński* na otwartéj płaszczyźnie wśród zbóż opasanych, niewiem dla czego? zielonym płotem, na wzgórku stoi wiatrak murowany a z za chmur płatami światła pobiega słońce. Pejzaż ten, wnosząc z kilku innych znajdujących się w drugiéj sali, nie jest ostatecznym wyrazem talentu i nauki artysty, pod względem poczucia piękna i wykończenia, ustępuje pierwszeństwa *Nad wiślańskiemu krajobrazowi o zachodzie słońca.*

Dwa *portrety* panny Szymanowskiéj (z których jeden wyobraża córkę Mićkiewicza), zalecają się układem pełnym spokoju i draperjami sfałdowanemi udatnie. Zasługuje również na uwagę głowa bandyty, *Studjum z natury*, tejże artystki.

Na *Portrecie młodéj osoby*, malowanym przez pana Le Brun, piękną jest twarz ocieniona czarnemi sploty; żywość w oczach, miękkość konturów i świetna karnacja, ponętnie zatrzymują oko widza na płótnie uznanego artysty.

P. Kamiński dał na wystawę krajową dwa małe portrety; jeden olejny, wykończony artystycznie, przedstawia Mićkiewicza; drugi pastelowy, siedzącéj kobiety, narysowany z wdziękiem i francuzką elegancją.

Portret męzki malowany a la prima przez pana Murzynowskiego, uderza świetnością kolorytu i śmiało kładzionemi reflexami. Głowa modeluje się wybornie, płaszcz zarzucony zręcznie, a chustka fularowa zawiązana w effektowny węzeł.

Pomiędzy dwoma portretami panny Szymanowskiéj, wisi *Studjum z natury* pana Stankiewicza, płótno zasługujące pod każdym względem na uwagę, szkoda tylko że umieszczone zanadto wysoko.

Rodzajowy obrazek pana Polkowskiego przedstawia izbę szewcką. Majster, snać na blauermontag, jak nas przekonywa jego nos zarumie-

---

ja tobie powiem, że taka była wola ojcowska. Postanowił ci on mnie twym opiekunem i dał mi władzę zupełną, ale ja przecież nie postępuję z tobą inaczéj, tylko jak on sam to wypisał. Nie mogę ci dać jego testamentu przeczytać.... bo tam są rzeczy, które ciebie nie tyczą; tak on chciał zresztą, abyś tego pisma nie czytał i jego wolą nie zupełnie się wiązał; ale około téj nauki i służby postronnéj stoi tam wypisano wyraźnie.

— Dobrze mi chciał mój ojciec, — rzekł na to Jerzy, — ale jak tu tę wolę wypełnić?

— No, — rzecze miecznik,— przy Boskiéj pomocy jakoś się to wypełni. A czy to tak wielkich summ na to potrzeba, aby do Francji pojechać? Potocki ty jesteś, czy Sanguszko xiąże? Trza ci to dworu, pompy, całéj szkatuły złota, jak takim panom? Dobra to, piękna i pożyteczna okazać cudzoziemcom zacność swego narodu, aleć to trza zostawić takim, których Pan Bóg do tego powołał. Potrafiłbyś to i ty, kiedyby byli twoi przodkowie tak zarobili na ciebie jak na nich, i kiedyby była wola Boska po temu. Lecz kiedy Pan Bóg rozporządził inaczéj, to trza się zwęzić do jego świętych wyroków. Więc kiedy nie można z dworem, to i bez dworu, bez żadnéj pompy a wedle swego staniku. Ba, i bez sługi, i bez swojéj landary, żydkiem najętym, wozikiem chłopskim, ode wsi do wsi, aż póki się nie dobijesz do kresu. Boć tu i nie idzie o zwierzchnie pompy, jeno o rzecz, — a rzecz przez to będzie, jeno trza chęci, trza pilności i pracy. Lepiéj téż, widzi mi się, pójść choćby piechotą po naukę i przynieść ją rzeczywiście, niżeli z pompą pojechać, a powrócić z łbem pustym i schorzałemi członkami.

— Ej! Boże, Boże! — mówił na to z westchnieniem młodzieniec, — jużby mi téż i pracy i pilności i wszelkiego zaprzania nie brakło, żeby jeno można do tego przystąpić. Aleć to i na najlichszą podróż, a tak daleką, trzeba siła pieniędzy!

— Wieleż rozumiesz?

— A Bógże wié! Aleć pewnie nie mało, bo i w Krakowie kosztowało mnie życie blisko trzysta czerwonych, chociaż Bóg widzi, żem jednego tynfa nie wydał, nie obejrzawszy go kilka razy.

— Hm! — rzecze miecznik, — to jakbyś miał tysiąc na tę tam podróż, toby było i dosyć?

— Chryste Panie! — rzekł Jurcio, — aż nadto.

— No, to ja tobie tysiąc czerwonych jeszcze koniecznie wyskrobię.

— Ale gdzież, dobrodzieju? Nie widzę ja jakby to się stać mogło.

— A co tobie do tego? w tem moja głowa. Już ja wiem kędy szukać pieniędzy, a na taką rzecz warto i dobrze poszukać.

Tu Jerzy patrzał niby z niedowierzaniem, a niby z trwogą na niego, ale on rzekł:

— A ja wiem co ty myślisz. Ty może myślisz, że ja ci dam te pieniądze z mojéj własnéj szkatuły. No, jużci pewnie, że gdybym był tę szkatułę tak nie wytrzebił na niepotrzebne mi ziemie, tobym się ani chwili nad tem nie zastanawiał. Aleć to o tém nie ma co myśléć. Jakoż nie z mojéj ale z twéj własnéj szkatuły dam ci te tysiąc czerwonych. Już ja tam jakoś z twoich folwarków te pieniądze wykręcę. A kiedy nie, to dostanę zkądinąd. Co tam tobie do tego, dość że dostanę. Nie minie tydzień, tak tuszę w Bogu, a grosz będzie na stole.

— Ale zmiłuj się dobrodzieju, — rzecze na to młodzieniec, kiedy dług na ojcowską fortunę zaciągniesz, żeby to zasię nie ujęło dochodów matce? Z czegóżby żyła? Wolę już

DODATEK.

niony, nabrał fantazji, więc w świątecznym stroju, a czapce na bakier, zabiera się do wyjścia na miasto, zapewne w odwiedziny do narożnego szyneczku. Jejmość zdaje się głośno acz pokornie reflektować postanowienie małżonka, bo aż zbudzony dzieciak zaczyna kręcić się w kołysce, a chłopak rudy z za warsztatu groźbą uspokaja malca. Obrazek ten jest bardzo piękny w swoim rodzaju, cokolwiek więcéj nieładu nie zawadziłoby w izbie, a jejmości więcéj charakteru, gdyż szanowna majstrowa niknie przy pysznéj postaci uróżowanego małżonka.

Nakoniec nie możemy przepomnieć głowy starca, *Studjum z natury* pana Paszkiewicza, która zyskałaby dużo, gdyby ją był artysta na ciemnem tle umieścił; również *Świętego Franciszka* pana Balukiewicza, małego nie bez zalety obrazka.

Korrespondencja z Paryża.

Dnia 30 czerwca 1858 r.

(Dokończenie.)

Teofil Kwiatkowski, rodem z Pułtuska, uczeń p. Leona Cogniet. Artysta oddawna poświęcony malarstwu, i dziwnie szczęśliwa i oryginalna organizacja umysłowa. Wszystko to zdawało się zapowiadać jemu i nam, przyszłość pełną bogatych plonów, na nieszczęście zapasy codziennych trosk życia rzuciły go w stronę najniewdzięczniejszéj pracy, kopjowania wielkich obrazów. Kopje te starych mistrzów, jakkolwiek wyborne i znakomite, nie zastąpią nam własnych, rodzinnych, straconych owoców pracy i talentu.

Mówię o tém z prawdziwym żalem, bo widziałem nie mało rzeczy tego malarza, które pokazują artystę, obeznanego ze sztuką i jéj sposobami. Pamiętam jeden czy dwa widoki z południowéj Francji, które mi wyrwały to wykrzyknienie serdeczne: Boże mój! czemuż to nie są widoki z nad Wisły lub Wieprza?

Oglądaliśmy szczególniéj u niego: Rue de l'Oratoire dawno już, dawno zaczęty obraz: *Polonez Chopina*. P. Kwiatkowski, był to serdeczny przyjaciel tego mistrza i wielki wielbiciel jego muzyki. W tym obrazie tedy, który miał być zarazem wspomnieniem ukochanego, straconego mistrza, i tłumaczeniem na płótnie jednego z jego najwdzięczniejszych, najposuwistszych i najbardziéj tęsknych Polonezów. W tym obrazie, powiadam, artysta chciał nam przedstawić grającego Chopina, którego otaczają najznakomitsze współczesne talenta polskie, a przed niemi jakby w zachwytnem natchnieniu mistrza, w długim fantastycznym polonezie, licznemi idąca pary, rozwija się cała przeszłość nasza. I tu okuty w żelazo—tam błyszczący axamity i atłasem, w posuwistych kręgach poważnego tańca, cały ten chorowód praojców i prababek naszych, przesuwając się przed zrzenicą widzów, ginie w dalekich cieniach gotyckiéj sali, i znika w otwartéj bramie, pod obrazem N. Panny!

Ale cała ta myśl poetyczna i piękna, ledwie narzucona, ledwie zaczęta tylko, czeka swego spełnienia jeszcze, kilka tam zaledwie widać figur, pojętych i narysowanych bardzo szczęśliwie, kilka grup oznaczonych tu i owdzie, prowadzą wprawne oko, do zgadnięcia reszty. Ale kiedyż będzie koniec? kiedyż będziemy oglądać całość? Pytam się kochanego kurpia i czekam na odpowiedź.....

Jest tu jeszcze pan Budkowski, podobno rodem z Kurlandji. Jeden tylko jego obrazek zdarzyło mi się widzieć przypadkiem. Ile można sądzić z jednego dzieła o malarzu, ma on dużo wprawy i biegłości—a rodzaj, który szczególniéj sobie obrał, jest to ten rodzaj flamandzki, na czele którego stoi Dawid Teniers, młodszy, u dawniejszych—i który w dzisiejszéj nowéj szkole francuzkiéj, ma znakomitego przedstawiciela w p. Meissonnier.

Rodzaj ten, pomimo pozornéj może swojéj łatwości, niezmiernie jest trudny. Potrzeba bowiem posiadać wielkie i skończone przymioty malarza, aby umieć je zredukować umiejętnie do drobnéj i mało znaczącéj skali. Nie dosyć tu jest być panem rysunku nieposzlakowanéj czystości, kolorytu pełnego przejrzystości i blasku, potrzeba tu jeszcze koniecznie pewnéj oryginalności konceptu i téj delikatności dotknięcia pendzlem, co w dwóch albo trzech pociągach, umie nadać charakter i znaczenie, fizjognomji swych figur. Potrzeba więc oprócz nauki i pracy, szczególnego jeszcze i wyłącznego usposobienia umysłu, aby nie wpaść w niewolnicze i błahe naśladownictwo, powierzchownych i jedynie podrzędnych zalet, tego lub owego mistrza!

Nie mam przyjemności znać osobiście p. Budkowskiego, niewiadome mi są zatém, ani jego zasoby artystyczne, ani jego usposobienia. Życzę mu jednak być niezmiernie ostrożnym i oględnym w téj mierze. W dziedzinie sztuki, naśladownictwo jest tak łatwą, ale zarazem i tak pustą w sobie rzeczą. Zrozumienie i zamiłowanie ulubionego mistrza, przyswojenie sobie bez plagiatu, jego ogólnéj metody lub szczególnych przymiotów, wtenczas dopiero jest ważne, kiedy nam służy za podwalinę i podstawę, do własnych indywidualnych utworów.

Życząc ostrożności p. Budkowskiemu, w tym względzie, nie zaprzeczam mu wcale dla tego, zapatrywać się pilnie, na obrazki Meissonnier a szczególniéj Teniers'a. Późniejsze a konieczne oswojenie się z typami polskiemi, może mu bowiem otworzyć w tym rodzaju szerszą i pewniejszą drogę. Przerobienie w tym rodzaju różnowiecznych ubiorów polskich, tak malowniczych, tak pięknych, posłużyć może malarzowi za temat, do skreślenia rozmaitych fizjognomji narodowych, których dobrze schwycone charaktery, mogą się stać powodem niesłychanego dla nas wdzięku, takich obrazków polskiego malarza, widzieliśmy tego drobniutki przykład, na naszym sztycharzu Płońskim, ale jak powiadam, do ojczystéj niwy potrzeba zwracać panie Budkowski.

Nie mogę tu opuścić bez wzmianki, waszego młodego Warszawianina p. Pilatego, którego małe obrazki, szczególniéj jezdnych i koni, uderzyły mię dziwną zręcznością wyrobienia, harmonijnym i wcale delikatnym kolorytem, a nadewszystko pewnym charakterem, bystrego spostrzeżenia, który wykazuje w p. Pilatym ogromny, wrodzony talent, tłumaczenie na płótnie oryginalnie tego, co mu staje przed oczyma, ciała lub duszy.

Nieśmiem wchodzić w szczegóły życia młodego tego malarza, ale zdaje mi się, że tam jest jak powiada Malczewski: „*Niemało bólów i kolców w tém życiu*" i boję się aby to nie wpłynęło na jego przyszłość i nie zwichnęło przypadkiem téj pracy, w któréj *wytrwanie* było zawsze najtrudniejszem dla naszéj polskiéj natury. Powiadam że to jedynie piszę na domysł, i byłbym najszczęśliwszy aby mi tego wręcz zaprzeczył młody artysta, bo wielkie i piękne nadzieje wróżę sobie o jego przyszłości. Dziś może jest jeszcze trochę niepewności w jego sposobie malowania, tu i owdzie przebija się widoczna niedokładność szczegółowych studji, we względzie anatomji końskiéj, pośpieszne zastąpienie rysunkiem lub modelowaniem *od ręki* tego, coby potrzebowało głębszego, sumienniejszego wyuczenia.

Ale to są wady, przynależne bardziéj wielkiéj łatwości, niż niedostatkom artystycznéj jego natury. Praca pilna i niezależne od tych lub owych okoliczności życie, łatwo by zatarły te ślady i wyprowadziły na właściwą drogę talent, który bardziéj poskromiać i wstrzymywać w swym pędzie niżeli zagrzewać i pobudzać należy.

Na tym skończymy wędrówkę naszą artystyczną po Paryżu. Są tu może jeszcze malarze, o których nie wspomniałem w tym pobieżnym przeglądzie. Nie moja w tem wina, bo w téj niezmiernéj Babilonji, trudno jest bardzo, wszystko a wszystko odszukać, znaleźć i widzieć. Nie mogę tu przecież zamilczeć imienia, chociaż to imie jest dziś nadzieją jedynie.

Młody chłopaczek syn pana Statlera z Krakowa, przybył tu z zapasem ojcowskich nauk i przykładów. Wejściu jego do szkoły sztuk pięknych w Paryżu towarzyszyły pewne okoliczności, które są naszą chlubą i najpiękniejsze wróżą nadzieje o jego malarskiéj przyszłości.

Potrzeba wam wiedzieć, że p. Stattler jest bardzo młody, 13 czy 14 lat ma zaledwie—najmłodszy był zatem ze wszystkich uczniów przypuszczonych do wstępnego examinu, który zdać potrzeba *stante pede* w sali akademickiéj, aby mieć prawo według zdolności i nauki być przypuszczonym do téj szkoły. Owóż na tym examinie młody Sztatler otrzymał numer pierwszy.

Z zadziwieniem prawie, chociaż z wielką uprzejmościa, przyjęli naszego Sztatlera examinatorowie, tak go nazbyt mocnym i świadomym teoretycznéj części rysunku i malarstwa znaleźli. A otwarta bardzo głowa i bystre pojęcie młodzieńca połączone z nawyknieniem do pracy i z wielkiem jéj zamiłowaniem, wróżą dla naszéj sztuki narodowéj, nowego i silnego atletę.

Kończąc to moje pisanie o polskich malarzach bawiących w Paryżu, żałuję nieobecności Julju-

---

ja trochę pocierpiéć, wolę i nigdzie nie jechać....

— Ale dajno pokój, mój Sodalisie. Ażaż już nie pamiętasz, com ci powiadał o matce? Toż przecie nie będę inaczéj mówił a inaczéj się zachowywał. Dość, krótko mówiąc, pieniądze będą, a kiedy chcesz się frasować, to się frasuj o resztę.

Uradowany nadspodziewanie młodzieniec; nie wiedział sam jak ma dziękować. Mówił ni to, ni owo, jak to zwykle u młodych w radości. Aż rzecze wreszcie:

— Hej! ale to do téj podróży jeszcze mi jednéj rzeczy potrzeba, a to jakich poczciwych listów. Dostanę ja wprawdzie parę listów od moich kochanych ojców, może i wojewoda mi nie odmówi....

— Eh! co tam ci po tych listach! — odparł miecznik powstając. — ja ci dam taki list, że ci stanie za wszystko. Nie od siebie, ale od hetmana Donhoffa. Donhoff był teraz na Jarosławskim zjeździe, ztamtąd do Warszawy pojechał, ale w tych czasach do Krakowa pojedzie, gdzie się mają załatwiać jeszcze ostatki dyfferencji z spadkobiercami nieboszczyka Ernesta Donhoffa, wojewody malborskiego, a którego córkę miał Stanisław za sobą. Byłyć tam o to nie małe spory, bo krewniaczkowie za czasu wojny pozabierali jemu fortuny, ale teraz się mają położyć zgodą i chcą dyfferencje zapłacić, do czego też mój Stanisław prosi mnie na rzecznika. Może nawet i sam tu po mnie zajedzie. Czy więc tu, czy w Krakowie, list ci wezmę od niego, a że to list będzie dobry, nie ma co i wspominać.

Jeszcze raz tedy dziękował młodzieniec swemu opiekunowi za te poczciwości i łaski, a potem już się rozeszli.

VII.

Jak przepowiedział Jmć miecznik stężycki, tak się też stało. W parę dni potem zajechały w dziedziniec zameczku jakieś wielkie powozy. Jedna oszklona landara w sześć koni wielkich niemieckich, druga podobna mniejsza, kozacy, rajtarja i rozmaita służba na koniach. Z pierwszéj landary wysiadł jakiś piękny jegomość, chociaż ubrany z niemiecka, i stanąwszy pod gankiem, zaczął się po podróży wyciągać. A był to Donhoff, wojewoda połocki, hetman polny litewski, konfederacji sendomierskiéj marszałek, kałuski, kościerzyński, nowomiejski, latowicki i Bóg wié jeszcze nie jaki starosta. Pana tego, a jednego z najczynniejszych ludzi owego czasu, można już było na Jarosławskim zjeździe obejrzéć, ale kto tam go nie widział, to mu się tutaj mógł jeszcze lepiéj przypatrzyć. Był to więc człowiek już nie wiosennéj młodości, ale jeszcze wcale nie stary. Dość pięknie wyrósł i wejrzenie miał w gruncie rzeczy łagodne, ale czy to w stanie żołnierskim, czy w innych sprawach wymagających rygoru, nawykł był czasem dosyć surowo spoglądać, do czego mu jego wyniosła postawa, nos dosyć duży i wielkie błękitne oczy, dosyć dobrze dopomagały. Ubierał się on najczęściéj z niemiecka, nibyto z saska, ale w podróży miał na sobie kurtę axamitną zieloną powyżéj kolan i buty szwedzkie palone, która to moda przybłąkała się była z Karolem XII nawet i do tych, którzy z nim nie trzymali. Tak w téj kurcie kuso skrojonéj, wcięty w pasie jak osa i w tych butach junackich, jeszcze daleko młodziéj wyglądał, niż był w saméj rzeczy. Młodo też, młodo, dobił się on tak znamienitych urzędów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

sza Kossaka, który tu wśród nas i wśród artystów i znawców francuzkich, najmilsze zostawił po sobie wspomnienie. Żałuję téj nieobecności tem bardziéj, iż rodzaj talentu Kossaka dał mi był pole, położyć pewne dotykalne zasady o sztuce polskiéj i zrobić widome porównanie tego co jest i co być może i być powinno w téj sztuce.

Kossak bowiem, jest to pokrewny talent tych wszystkich ludzi co Polskę widzieli i odbili w każdem słowie i w każdym ruchu. Dla niego jak dla nich nie ma żadnéj, ukrytéj tajemnicy w przeszłości naszéj, którejby oni odgadnąć nie mogli. I każdy fakt i obraz, odbija się natychmiast, w bystréj imaginacji malarza, z tym darem interessu, który naprzykład w obrazowéj części, prowadził pióro autorów *Pana Tadeusza i Mani*.

Trudno mi przyjdzie wytłumaczyć może wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów, co czuję we względzie talentu Kossaka. Dosyć jest powiedzieć, że przed najmniejszem dziełem jego ręki, każdy Polak uderzony zostanie tym wyrazem swojszczyzny, narodowego pokroju i szyku, a każdy cudzoziemiec tym tajemnym wyrazem prawdy, którego i najbieglejsze naśladownictwo schwycić nie potrafi—który naprzykład daje nam niewiedzieć dla czego przeświadczenie, że pottret mnicha Velazqueza w Luwrze, jest uderzającego podobieństwa, chociaż tego mnicha nikt z nas w życiu nie widział.

Wszystkie części każdego obrazu Kossaka, zacząwszy od koloru nieba i formy obłoków, aż do kury grzebiącéj na śmietniku, mają też samą niezatartą cechę, naszéj tylko właściwą ziemi. Jego ludzie, zwierzęta, pola i lasy wszystko aż do martwych przedmiotów, aż do wrót podwórza lub żórawia studni, noszą ten sam podsłuchany, wypatrzony, wykradziony z naszéj Polski charakter i prowadzą za sobą myśl w niesłychane obszary, co raz to otwartszego, szerszego horyzontu wspomnienia. A jeżeli taki rodzaj malarstwa, nie nazywa się sztuką narodową, to cóż się nią nazywa u licha?

Żałuję więc że go tu nie ma, że nie widzę przed sobą tego zamaszystego wąsa polskiego, a szczególniéj jego obrazów i obrazków. Bo jako duch i tendencja, jest to zapewne człowiek najsilniéj dziś może realizujący. to zagadnienie Towarzystwa Krakowskiego: *Jakie są cechy sztuki Polskiéj*? A nie chcąc z pamięci prawić o obrazach które widziałem i podnosić tak ważnéj kwestji omackiem, zostawiam to na przyszłość.

Chciałbym jednak, aby ci wszyscy co piszą u nas o sztuce, co się zajmują sztuką—przeniknęli się serdecznie i głęboko tem uczuciem, które panuje we wszystkich dziełach Kossaka, i które stanowi główną zasadę jego talentu i jego wartości. Kto wie? może to tajemnicze ogniwo jego ducha i samemu artyście jest niepojętym arkanem? Kto wie, czy zna on dobrze, twarz w twarz tego, co go ze snu budzi i co mu rękę prowadzi? ale to pewna, że on to misterne ogniwo posiada, i że jasność jego, dobitnie i wiernie tłumaczy—ku téj więc stronie i ku téj drodze wszystkich naszych wołam artystów!! dahin—dahin!

Oddając tu pochwały Rodakowskiemu Kossakowi, Kaplińskiemu i innym naszym malarzom, a które z przeświadczenia i przekonania mojego pochodzą—pragnę tedy aby czytelnicy moi nie brali tego wcale, za jakieś powszednie kadzidło znajomego malarzom przyjaciela, albo obligowanego dziennikarza—chciałbym szczególniéj, aby oni sami i wszyscy, nie uważali tego jako wysławianie puste na szczycie sztuki już stojących mistrzów.

Wyrażane tu pochwały należne im i oddane w mierze ich talentu i pracy, co nie odejmuje mi wszakże ani dziś, ani na przyszłość prawa powiedzenia im prawdy, gdyby to nawet miało być gorzką i cierpką. Nie odejmuje mi to wcale prawa przypomnienia naszym artystom że te pochwały należą się bardziéj ich usiłowaniom, aniżeli osiągniętym już celom, i że są jakby serdecznem ostrzeżeniem o dobréj i właściwéj drodze, na któréj ich talenta szukają zrealizowania, wyższych chęci i wyższych pomysłów!

Z wyjątkiem Rodakowskiego, który jest bez zaprzeczenia najpierwszym naszym malarzem w sile i wiedzy — porządek następujących tu po sobie imion artystów, jest zupełnie przypadkową rzeczą i nie ma żadnego celu klassyfikacji. Wszystkim zaś im bez wyjątku jednego życzę i radzę, wyuczenia się typów narodowych i naszéj polskiéj natury. W tym bowiem jednym czuję że jest cała waga prawdziwego dzisiaj artysty—jak w XIV i XV wieku, pojęcie i zrealizowanie religijnych typów, było zagadnieniem malarzy włoskich. To jedno wyprowadzi ich na stanowisko prawdziwe. rzetelne, właściwe ich talentom i usposobieniom ducha i odróżni od tego tłumu malarzy, ginących co dzień i co chwila w tym brudnym i bezbarwnym prądzie kosmopolityzmu, któremu zapanować może jedynie genjusz i to oparty na silnéj rodzinnéj podstawie.

Nieposzlakowana czystość rysunku, głębsza umiejętność kompozycji, większe bogactwo barwy są to warunki, które zdobywa tylko usilna nieprzerwana praca i długie, długie doświadczenie sposobów i środków. Mówić więc o tem, czego dziś braknie w tym lub owym obrazie naszych malarzy pod względem technicznym sztuki. Zdawało mi się nieużyteczną wcale rzeczą, dla publiczności, która tych obrazów , nie widziała i może nigdy wcale widzieć nie będzie.

Ja sądzę, że tego rodzaju ocenianie dzieł sztuki dobre jest i pożyteczne, kiedy idzie o sprostowanie sumienia, zdania publiczności, w czasie wystawy malarskiéj. Inaczéj, są to dywogacje bez użyteczne; często bardzo fałszywe, a zawsze drażliwe irrytujące nad miarę. Wykazywać zaś te uchybienia szczegółów samym artystom, byłoby to czynić daremne przypomnienie im tych grzechów i tych słabości, które oni sami czują najlepiéj i od których oswobodzić się, za każdym nowym szukają obrazem.

Skończmy wreszcie ten nasz przegląd malarski, i tę naszą odpowiedź na broszurę o *sztuce polskiéj* temi pięknemi prawdziwemi słowy, które wyrzekł pan de Mercey, w świeżo wydanem, swem dziele pod tytułem: „*Etudes sur les beaux arts*“ w tomie 2gim.

„I kiedy politycy o krótkim wzroku, siłą się uważać sztuki jedynie, jakie jako pewien rodzaj błyszczącego zbytku, prawdziwy mąż stanu, odkrywa w nich jedną z najpotężniejszych sprężyn wpływu, na opinję ludzi, których one pociągają serca; jeden z najgłówniejszych elementów życia narodowego, którego intelligencji są one objawem, i o którego prawdziwéj świadczą wielkości.“

Y.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE

Telegramy.

Paryż 9 Lipca. Moniteur ogłasza obraz stanu Banku francuzkiego za miesiąc czerwiec.— W stanie gotowizny w kassie banku, okazuje się powiększenie o 17,500,000 fr., w biletach znajdujących się w obiegu o 47,350,000 fr., a w biletach znajdujących się w kassie o 44-miljonów.

Zmniejszenie w zaliczeniach na papiery publiczne i inne wartości wynosi 3,125,000 a w bieżącym rachunku skarbu 4 miljony.

Inne rachunki bieżące stoją w mierze.

Londyn 8 Lipca. Na dzisiejszem posiedzeniu Izby niższéj, bill o Indjach został po trzeci raz odczytany. Lordowie Palmerston i John Russell oświadczyli swoje szczere zadowolenie z powodu że bill o przysiędze parlamentarnéj został przyjęty w komitecie Izby lordów.

Tryest 8 Lipca. Mamy wiadomości z Konstantynopola 3 b. m.

Donoszą one, że p. Thouvenel nalegał na Portę, aby przychyliła się do żądania mocarstw które proponują rewizję aktu żeglugi na Dunaju przez konferencję paryzką. Dodają one, że po konferencjach Fuad pasza uda się do Londynu, dla urządzenia ewakuacji wyspy Perim.

Zapowiadają bliskie zawarcie traktatu pocztowego między Rossją i Grecją.

Hamburg 9 Lipca. Depesza telegraficzna z Kopenhagi pod wczorajszą datą donosi, że w gabinecie duńskim nie zajdzie żadna więcéj zmiana i że minister spraw wewnętrznych p. Krieger objął tymczasowo zarząd finansów opuszczony przez p. Andrea.

Paryż 10 Lipca. (Z rana). Dziś ma się odbyć nowe posiedzenie konferencji.

(Neue Preussische Zeitung.)

AMERYKA.

— Paropływ *Arago* z wiadomościami z New York po d. 26 Czerwca, przybył do Londynu.— Donoszą one, że p. Rooseveld został w miejsce p. Dallas przeznaczony na posła w Londynie.

Znowu zdaje się, że pojednawcze usposobienie mormonów było pozorne, albo mylnie donoszono.

Wiadomości z Australji dochodzą z Sydney do 11, z Melbourne do 16 maja. Linja telegrafu między Sydney i Adelaida jest już ukończona. *(I.B.)*

ANGLJA.

Londyn 6 Lipca. Słychać, mówi *Times*, że królowa zdecydowała udanie się na uroczystości inauguracyjne w Cherbourg, gdzie się zobaczy z Cesarzem Napoleonem, prócz tego postanowioną jest wycieczka na Ren, a mianowicie królowa zamierza niejaki czas zabawić w Koblenz.

Odprawianie na morze nowych posiłków przeznaczonych do Indji, rozpoczęło się od wczoraj. Trzy pułki górno-szkockie i dwa bataljony piechoty odpłynęły już do Curachee przy ujściu Indus. Nim one tam przybędą, pora deszczowa w téj okolicy Indji ustanie i rozpocznie się zdrowsza pogoda. — W ogóle 9000 różnego wojska uda się do Indji.

— Czytamy w *Morning Star*:

Deputacja kupców i innych obywateli miała wczoraj posłuchanie u margrabiego Salisbury, lorda prezydującego w radzie i prosiła go aby rząd nakazał bezwłoczne otwarcie bibljotek i muzeów publicznych w dnie niedzielne. zaraz po godzinach nabożeństwa. Margrabia słuchał przychylnie tych przedstawień, ale odpowiedział, że przeciw temu żądaniu występuje zarzut, że tym sposobem urzędnicy w zakładach o których otwarcie dopominają się delegowani, nie mieliby odpoczynku należnego w dzień świąteczny. W ogóle jednak można było uważać, że rząd nie jest przeciwny celowi deputacji.

Sun donosił o mianowaniu jenerała Rose, kawalerem wielkiego krzyża orderu Łaźni, podobnie jak dowódcy goorkasów Dżung Bohadora.

— Dotychczasowe depesze w przedmiocie zerwania się liny telegrafu zaatlantyckiego niedość są jasne, ale zdaje się, że strata poniesiona tym razem, jest najcięższą ze wszystkich dotychczasowych. Ponieważ eskadra wyruszając w drogę miała trzy tysiące mil liny na pokładzie, a odległość między dwoma oznaczonemi punktami wyjścia na lądzie wynosi tylko 1960 mil, nie widzimy zatem powodu, dla któregoby nie rozpoczęto zaraz na nowo téj operacji. Ostatnia depesza donosi istotnie, że *Niagara* zabrawszy zapas węgla, uda się na nowo do *Agamemnona*, który jak sądzą, pozostał na miejscu operacji. Zachodzi tylko kwestja, czy niepomyślny stan pogody, nie sparaliżuje tych usiłowań.

— Niezmordowany opowiadacz, pan Albert Smith odbył wczoraj dwutysiączną i ostatnią prelekcję o górze Montblanc, na których wszystkich opowiadał z obcych opisów i osobistych wypadków ciekawe szczegóły o téj okolicy Szwajcarji, z akompanjamentem obrazów dekoracyjnie malowanych. Jedynie nadzwyczajne zajęcie jakie anglicy okazują dla ustnych opowiadań, mogło doprowadzić te prelekcje które prawie dosłownem były powtarzaniem jedna drugiéj, do tak olbrzymiéj liczby. P. Smith który zapomocą Montblanc zebrał znaczny majątek, pożegnał swoją publiczność humorystyczną i uprzejmą mową, przyrzekając w grudniu rozpocząć na nowo kurs humorystycznych odczytów o Chinach. Zamierza on gruntownie studjować państwo niebieskie, a raczéj exploatować, bo zabawiwszy miesiąc w Hong Kong, rok potem będzie opowiadał o Chinach. W przyszłą sobotę odpływa z Marsylji, w początku sierpnia spodziewa się stanąć na ziemi chińskiéj, a w początku października puści się w powrotną podróż. *(Neue Preus. Ztg).*

EGIPT.

Według listów z Alexandrji, vice-król nakazał bardzo surowe śledztwo w przedmiocie wypadku na kolei żelaznéj, którego skutkiem była śmierć xięcia następcy tronu. Z wielu stron daje się słyszéć zdanie, że tu miała miejsce jakaś umyślna zbrodnia. *(Neue Pr. Zeit.)*

FRANCJA.

Paryż 8 Lipca. Zapewniają iż bardzo mało zajmowano się polityką w Etiolles. Pełnomocnicy oddawali się przyjemności uprzejméj gościnności hr. Walewskiego. Nie wiemy czy rzeczy tak daleko zaszły jak niektóre osoby spodziewały się, żeby można było przystąpić do roztrząsania kwestji żeglugi na Dunaju, ale utrzymanie zgodności między pełnomocnikami, nie ulega wątpliwości. Zasady zgody są te jakie wskazaliśmy poprzednio: rozłączenie polityczne dwóch xięztw, ale jako wspólny węzeł, instytucja nie mająca może zupełnego charakteru senatu, ale stanowiąca pewien rodzaj komitetu centralnego złożonego z szesnastu członków, z których ośmiu mianować będą zgromadzenia mołdawian i wołochów, a ośmiu dwaj hospodarowie. Mówią także że ma być jeden sąd kassacyjny dla obu prowincji, ale w tym

względzie nie ma jeszcze ostatniéj decyzji. Według wiadomości które mamy z pewnego źródła, projekt który ostatecznie odniósł zwycięztwo w konferencjach, był podany ze strony Anglji.

Biegała dziś wieść, że zaraza wybuchła w Alexandrji; donoszą także, że konsulowie europejscy reprezentujący rozmaite mocarstwa u wice-króla, protestowali przeciw umowie pożyczki 50 miljonów, któréj następca Mehmeta Ali żąda od jednego Banku angielskiego; oprócz procentu 9 od sta, który ten traktat waruje, dąży on do oddania w ręce pożyczających, a zatem Anglji, w charakterze rękojmji pożyczki, nietylko kolei żelaznéj z Alexandrji do Suez, ale i gruntów rządowych bardzo znacznych, położonych przy brzegu morza Czerwonego. Dodają, ale nieręczymy za prawdziwość téj wiadomości, że protestacja ta wstrzymała podpisanie ostateczne téj umowy.

Urzędowe potwierdzenie wizyty królowéj Wiktorji w Cherbourgu, nadeszło wczoraj z Londynu. Zapewniają, że pełnomocnicy konferencji zaproszeni zostaną na uroczystości inauguracyjne; prócz tego mówią o wspaniałym obiedzie, który Cesarz ma wyprawić na pokładzie okrętu *Bretagne*, pod kosztownym i gustownym namiotem.

Marszałek Randon wyjedzie do Plombières; sądzą, że jeneralny gubernator Algierji ma przedstawić do decyzji Jego Ces. Mości rozmaite kwestje, tyczące się rozdzielenia attrybucji między nowem ministerstwem i wydziałem admirała Hamelin. Co do ważnéj kwestji artyllerji i piechoty marynarki, Cesarz oświadczył się przeciw żądaniu swego kuzyna, chociaż admirał Hamelin gotów był ustąpić przytoczonym przez xięcia okolicznościom; w zdaniu Cesarza przeważyły ważniejsze daleko powody, a mianowicie straż portów.

Algierja popłakawszy trochę nad utratą spodziewanego tytułu wice-królestwa, albo namiestnikostwa Cesarskiego, cieszy się dziś, że losy jéj oddane są pod straż specjalnego ministra. *Akbar* wita z radością xięcia Napoleona, żałując jednak przypuszczalnego usunięcia się jenerała Daumas, którego nazywa organizatorem, historykiem, poetą Algierji, bo dzieła jenerała Daumas o Afryce francuzkiéj, chociaż prozą pisane, zbliżają się do poezji świetnością i głębokością myśli i pióra. Dziennik ten mówi, że nominacja xięcia jest dla Anglji ostrzeżeniem i oświadczeniem, jaką ważność rząd francuzki chce nadać na przyszłość naszym dalekim posiadłościom zamorskim. Wprawdzie świetność tak potężnego patronatu, stanowi nową ważność dla naszych kolonji, nie należy jednak przypisywać téj sprawie barwy antyangielskiéj, przeciw któréj przemawiają stanowczo osobiste stosunki i sympatje xięcia Napoleona.

Starożytności egipskie przywiezione przez statek *Brandon* do Marsylji, przeznaczone są, jak słychać, dla rzymskiego pałacyku xięcia Napoleona przy Alei Montagne.

— Wiadomo, że przekopanie góry Cenis jest w robocie od kilkunastu miesięcy, i że z dwóch stron wzięto się do tego olbrzyma Alp. Mamy pod ręką znakomitą pracę p. Menabrea, członka parlamentu sardyńskiego, pułkownika inżynierji, którą on przedstawił akademji francuzkiéj, która lepiéj niż wszelkie inne wyjaśnienia, da nam wyobrażenie o wielkości i trudności tych prac. Następujący fakt nie potrzebuje komentarzy: za pomocą zwyczajnych środków potrzeba byłoby 36 lat dla przekopania góry Cenis, a przez dowcipne przyrządy jakich użyto, tunel ten będzie gotowy w ciągu lat sześciu.

— P. Gelis kapitan inżenierji, którego rząd francuzki przykomenderował do konsulatu naszego w Raguzie, dla pełnienia obowiązków kommissarza specjalnego do uregulowania granicy czarnogórskiéj, odjeżdża jutro na miejsce swego przeznaczenia. (*Ind. Bel.*)

— *Journal des Débats* w następujący sposób przemawia o spodziewanéj wizycie królowéj Wiktorji w Cherbourg:

Wiadomość o bliskiem przybyciu królowéj angielskiéj do Cherbourg, rozchodzi się od kilku dni z niejaką stanowczością w Paryżu, i niepotrzebujemy mówić, że w naszych oczach jest to pomyślna wiadomość, ponieważ ona do reszty rozproszy bezzasadne obawy, jakie obudził od niejakiego czasu ton pewnéj liczby dzienników. Te nierozsądne obawy przekroczyły na nieszczęście nawet za nasze granice, i nieraz zdarzyło się nam słyszyć naszych sąsiadów mówiących o zerwaniu z Francją, jako o rzeczy smutnéj, ale bliskiéj. Widząc ciągle jak pewne dzienniki starają się wmawiać z pewną miną powagi i stanowczości, że Francja niechętnie i niecierpliwie znosi przymierze angielskie, że słusznie czy niesłusznie radaby je zerwać jak najprędzéj i że potrzeba całéj energji rządu francuzkiego, aby wstrzymać te nieprzyjazne dążności; nie jeden nawet światły anglik uwierzył nakoniec temu, chociaż nie rozumiejąc powodu, a zaślepiony przez swoją dumę narodową, oswoił się z myślą przyjęcia tego bez żalu.

Nie ma wątpliwości, że gdyby honor i interessa Francji były rzeczywiście zagrożonemi, niewahałaby się ona bronić ich z równą dzielnością przeciw Anglji jak przeciw któremu bądź innemu mocarstwu, a przypomnienie straszliwych walk w których tak długo te dwa mocarstwa zostawały ze sobą, mogłoby w takim razie obudzić nadzwykłą energję ze strony Francji, Ale między tem uczuciem bardzo naturalnem i słusznem, a tem bezmyślnem życzeniem zerwania bez powodu, różnica jest niezmierna; ta ślepa i niesprawiedliwa nienawiść jaką pewne dzienniki usiłują przypisywać narodowi francuzkiemu, jest zmyśleniem ubliżającem temu rycerskiemu narodowi. Nie zaprzeczamy, że między nami znajdują się osoby które z powodów swego pochodzenia i pretensji arystokratycznych, mają sobie za obowiązek okazywać, że więcéj niż reszta narodu pamiętają klęski pod Crécy, Poitiers i Azincourt, i że najszczerzéj pragną odwetować za nie; mamy także niektórych tak gorliwych katolików, że wypowiedzenie wojny przeciw protestanckiéj Anglji, uważają za najpierwszy obowiązek sumienia. Ale naród któremu nie możemy zaprzeczyć prawa słuchania własnego smaku w tak ważnéj sprawie, nie ma żadnego udziału w tych excentrycznych opinjach; potrzebaby mu więcéj stanowczych powodów iżby zerwanie z Anglją mógł inaczéj uważać jak za błąd i klęskę. Na szczęście podobny wypadek zdaje się być mniéj niż kiedykolwiek prawdopodobnym, a pewne już dziś odwiedziny królowéj angielskiéj w Cherbourg, dowodzą, że dwa rządy zarówno mają na sercu zachowanie a nawet wzmocnienie przymierza, którego osłabienie lub rozluźnienie musiałoby spowodować najsmutniejsze skutki dla wszystkich ludów ucywilizowanych. (*Journal des Débats.*)

I N D J E.

Times rozbierając ostatnie wiadomości z Indji, zdaje się bardzo mało przywiązywać ważności do licznych band, które snują się jeszcze w tym kraju. Według tego dziennika, powstanie jest dziś ograniczone na części brzegów Gangesu i Dżumny, które niepokojone są przez niedobitki armji Bengalu. Zresztą te niedobitki nigdzie nie mogą się ostać w obec wojska, które się wycieńcza ścigając ich, i które dziesięć razy więcéj cierpi od promieni słonecznych niż od ognia nieprzyjaciół. — Armja nasza tak samoby cierpiała mówi *Times*, gdybyśmy polowali na szakale albo dziki zamieszkujące bagniste zarośla Rohilcund i Oude. Ale armja nasza ma jeszcze inne kłopoty; męczy ją między innemi potrzeba czuwania nad 20,000 sypojów, którzy przynajmniéj na pozór pozostali nam wiernemi, i którzy bez broni obozują w swoich dawnych stanowiskach, i otrzymują żołd od towarzystwa. *Times* wylicza oddziały wojska używane do pilnowania tych rozbrojonych pułków. i znajduje to nie douwierzenia, że ponosiemy koszta utrzymywania dwóch armji, z których jedna nie ma żadnego zajęcia, prócz pilnowania drugiéj, kiedy tymczasem żołnierz europejski mógłby bardzo korzystnie użytym być na północy; proponuje zatem żeby owe pułki sypojów rozesłano jako garnizony do naszych posiadłości przylądka Dobréj Nadziei, wyspy Maurycego i Indji zachodnich.

Rząd indyjski miał niewątpliwie te same myśli, ale może uważał za niebezpieczne postąpić względem tych żołnierzy, którzy pozostali nam wiernemi, w sposób, który krajowcy mogliby uważać za złą wiarę, i nadużycie władzy. Te pułki otrzymując żołd i żywność w tak dziwnych okolicznościach, służą obecnie za dowód niezachwianéj ścisłości z jaką rząd indyjski wypełnia wszelkie swoje zobowiązania, i mogą w krajowcach obudzać szczerą wiarę, w sprawiedliwość i wspaniałomyślność tego rządu.

— Specjalny korrespondent indyjski *Timesa*, wracający obecnie do Anglji pan William Russell, kreśli przerażający obraz klimatycznych cierpień armji angielskiéj. Tylko sir Colin Campbell zdaje się być nie przystępnym i nieczułym na rozpalające do czerwoności promienie tamecznego słońca. Wszyscy jego adjutanci pochorowali się z pracy, wyjąwszy p. Hope Johnston który obwiązawszy głowę mokrą chustką, pisał daléj z odwagą narażając się na śmierć. Z 60-go pułku strzelców 40 ludzi umarło od apoplexji słonecznéj. Pomimo puszczania krwi i stawiania pijawek na skroniach większa część na miejscu umierała, a z niewielu uratowanych i tak każdy na długo nie będzie zdolny do służby. Dotknięci tem porażeniem dostają szkarłatną barwę na twarzy, oddech chrapiący i oczy błędne. Lekarze otworzywszy czaszkę konia porażonego promieniem słońca, znaleźli weny napełnione stwardniałą krwią jak w sparaliżowaniu cholerycznem lub po otruciu kwasem pruskim. A przytem ubranie wojska jest tak niestosowne jak tylko być może. Bardzo mało zmieniono w uniformie europejskim. Bermyce (niedźwiedzie czapki) górali, chyba obłąkany chciałby nosić na równinach Indji. (*Neue Pr. Ztg.*)

Przegląd literatury krajowéj.

O kilku nowych wydaniach historycznych.

Teka Gabryela Junoszy Podoskiego. Poznań, 1854—6. Tomów 4ry w 8ce, str. 328, 398. 331 i 79 oprócz rejestrów.

(Patrz Ner Kroniki 180.)

W naszéj bieżącéj literaturze mamy kilka przykładów takich złych wydań. Bużeńskiego Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich, pierwsze cztery zeszyty Pamiątek historycznych Święckiego, wydrukowanych przez Lewestama, roją się od błędów; w ostatnich dwóch dziełach winą tego zapewne korrekta, ale w Tece Podoskiego dużo trzeba odłożyć na karb niekrytyczności wydania. Zresztą w ogóle ten nieład w xiążce, przypomina nam bardzo wydanie „Źródeł do dziejów polskich" Franciszka Nowakowskiego (w Berlinie w roku 1840, dwa tomy u Behra). I tam są ciekawe rzeczy, ale bez dat, bez porządku i ładu przedrukowane, nie przynoszą nauce takiéj korzyści, jakąby przynieść mogły przy wydaniu krytycznem.

Drugi to już raz potrącamy o tę materję. Pierwszy raz wyrzucaliśmy niedawno taki nieład i nieporządek xiędzu Barączowi, kiedyśmy pisali o jego „Pamiętniku dziejów polskich" (Bibljoteka Warszawska 1857 Tom 4ty). Dzisiaj gdy potrzeby naukowe nasze rozwijają się, gdy wymagalność z dniem prawie każdym staje się większa, przykro też widzieć wydania bobrowiczowskie w historji. A z tego wszystkiego płynie to przekonanie, ten pewnik. że bez przygotowania się pewnego, bez poznania mniéj więcéj czasu, brać się nie można do wydawania pomników przeszłości. Kiedyśmy pisali o tłómaczeniu Mosbachowskiem 4go Klimakteru Kochowskiego, wywiedliśmy pewnik, że „historja danego narodu pisze się dobrze i w całym rozwoju, w całéj szczerości, li tylko w języku tego narodu" (Bibljoteka Warszawska 1854 Tom 3ci str. 340). Język Klimakterów zastosował się do wyobrażeń, do pojęć politycznych xięztwa warszawskiego i dawne instytucje polskie i urzędy nowomodnie kaleczył. Był w tłómaczeniu język nowy polski, ale nie terminologja spółczesna opowiadanym wypadkom, historyczność z niego uciekła.

Przy wydaniach takich jak Teka Podoskiego, położylibyśmy drugi pewnik, który dopełnia pierwszego: tam oświadczyliśmy się, że tłómaczyć nie wolno pomników historycznych pierwszemu lepszemu, ale ludziom naukowo, specjalnie do tego przygotowanym, tutaj powiedzielibyśmy, że nie wolno nawet wydawać materjałów historycznych nikomu, bez wniknięcia w historję danego czasu. Z dwojga złego, wolimy, żeby wydanie było ladajakie, jak żadnego, wszelakoż kładziem tutaj nasze własne zdanie, które ma na celu dobro nauki. Niewątpimy, że wydawca Teki jest człowiekiem sumiennym, że chce postępu nauki, że sam pracuje nad sobą, jak pracujemy wszyscy, wszelakoż sądzim, że tutaj się zazbyt pośpieszył i że gdybyśmy nawet nie zwrócili na to jego uwagi, sam postęp badań historycznych którym się poświęca, samo większe rozpatrzenie się w dziejach czasów saskich, da mu poznać, że samochcąc Tece Podoskiego, a raczéj swojéj zasłudze przy jéj wydaniu, odjął dużo wartości.

Nie obwijamy niczego w bawełnę, mówimy bezwzględnie prawdę, sądząc że wydawca nie będzie pomawiał nas o jakie skryte cele i dążności względem niego. Idzie nam tylko o naukę, o historję — i o nic więcéj. Pan Jarochowski pracujący też w zawodzie historycznym, znamy kilka prób

jego i wiemy że zasłużyć się potrafi względem literatury i nauki. Dla tego też zwracamy jego uwagę na potrzeby naukii wydawnictwa. W przedmowie zasłania się wprawdzie cokolwiek wydawca od jednego zarzutu z tych, jakie wydaniu Teki tutaj zrobiliśmy; powody przecież jego które przytacza, niewytrzymują nietylko krytyki, ale nawet najlżejszéj uwagi. Tłómaczeniem niechciał np. ścierać własnéj barwy z dokumentów. O jakiéj barwie jest tu mowa, nie rozumiemy. Nie zaśniedziały jeszcze przecie te dyarjusze z Teki tak bardzo pleśnią przeszłości, żeby aż bać się o lada z nich pyłek, który się zetrze. Wydawca mówi też, że trzymając się najściśléj rękopismu, nie dopełniał domysłami swemi choćby popsutego textu. Przeinaczać go niewolno zapewne, ale domysły, krytyka, do oczyszczenia textu konieczne są. Bez krytyki owéj i domysłów, nie mielibyśmy dzisiaj ani jednego płodu literatury rzymskiéj; drukując ślepo to cośmy znaleźli w kodexach średniowiecznych mnichów, nie odgrzebalibyśmy nigdy starożytności. Skrupuły te niepotrzebne przy materjałach arcy-szanownych odległéj przeszłości, są już nawet dziwaczne przy drukowaniu materjałów tak zepsutych i nieporządnych jak w Tece.

Szanowny wydawca tem zbłądził, że za coś więcéj wziął te materjały, jak były w istocie. Widać to z jego przedmowy, widać mianowicie z owych powodów, jakiemi broni nazwiska nadanego xiążce. Materjały jego pochodziły z bibljoteki Gabrjela Podoskiego, taki był napis złotemi literami na każdym z sześciu tomów rękopismu. Wydawca nazwał ten zbiór Teką Podoskiego. Ale Podoski był wielką figurą w Rzplitéj, arcy-biskupem, xięciem i prymasem, więc stąd domysły, że miał cel jakiś w zbieraniu tych dokumentów, że był to miłośnik dziejów Rzplitéj, lub co prawdopobniejsze, potrzebował akt tych jako dygnitarz. Pan Jarochowski mało jeszcze widać przeglądał rękopiśmiennych źródeł naszéj historji i mało widział opraw, kiedy z prostego napisu tyle domysłów potworzył. Każdy szlachcic miał massy not, przywilejów, listów, dyarjuszów, które spisywał w Sylwach rerum. Z Sylw takich ludzie dawniéj się uczyli historji. Xięgi takie zastępowały im dzisiejsze piśmiennictwo perjodyczne i gazety. Cóż mówić o figurach podnioślejszego znaczenia? Mogli mieć całe bibljoteki takich Sylwa rerum. Dzisiaj sądzimy, że nie ma ani jednego z uczonych polskich, którýby się historją ojczystą zajmował, a którýby nie posiadał mniejszéj albo większéj ilości owych xiąg rękopiśmiennych. A nużby który kazał jaką xiążkę oprawić i położył napis, że to z jego bibljoteki? Dałożby to prawo wydawcy jakiemu za lat pięćdziesiąt mówić, że właściciel zbierał dokumenta, że ich potrzebował jako dygnitarz? A każdy uczony więcéj zapewne potrzebuje tych xiąg które ma i które oprawić kazał, więcéj zapewne jest miłośnikiem dziejów, jak ów xiądz Podoski. Te sześć xiąg były jego własnością i nic więcéj, nie zbierał też ich umyślnie, tem bardziéj dla jakich praktycznych celów. Przeciw nazwisku nic nie mamy, każde nazwisko takie, to jak znak u kupca, nic więcéj; każde będzie dobre, im stosowniejsze, tem lepsze. Nie idzie nam więc tutaj bynajmniéj o nazwisko, jakie wydawca dał xiążce, ale nie powiemy nigdy, żeby ten zbiór miał jakieś znaczenie dla swojéj chwili praktyczne. Wydawcy zdawało się, że to są niby noty dyplomatyczne, dla tego że rękopism był własnością wielkiego dyplomaty i ztąd niepozwalał sobie ani tłómaczeń, ani domysłów, ani krytyki; w wydawnictwie zachował całkiem dyplomatyczną skrupulatność. Po cóż się domyślał, że to Teka Podoskiego, kiedy widział czarno na białem, że to tylko rękopism z jego bibljoteki? Nielogicznie też wedle swojéj zasady postąpił, skoro po różnych miejscach rozrzucone dokumenta, dla wygody czytelnika uporządkował, chociaż za to do niego żadnéj pretensji nie mamy, owszem, dziękujemy mu, że tym razem odstąpił od dyplomacji.

Żarty na bok, ale p. Jarochowski w każdym razie położył zasługę ogłoszeniem tych materjałów, chociaż nieporządnem. Jest w historji narodowéj wielka próżnia lat kilkudziesięciu, dotąd prawie niczem nie zapełniona. Jest to epoka saska, a zajmuje koniec pierwszego i całe panowanie drugiego sasa. Ciągnie się mianowicie od sejmu niemego, który skończył ciężkie przesilenie Rzplitéj w konfederacji tarnogrodzkiéj, to jest od r. 1717 aż do bezkrólewia po Auguście 3cim, to jest do roku 1763. Z pierwszéj połowy téj epoki dolatują nas tylko wieści o pijatyce i miłostkach króla, z drugiéj głucha wieść o zrywaniu sejmów i o przejściach wojsk i narodów przez Polskę, którą sprawiedliwie porównano wówczas do zajezdnéj karczmy. Ogół mało z przeszłością obeznany, sądzi, że to czasy uśpienia politycznego narodu, że w epoce téj nie odzywała się nigdy i nigdzie myśl podnioślejsza, obywatelska, że nikt wtenczas nie zajmował się przyszłością. Fałszywy to bardzo pogląd na rzeczy. Już za sasa drugiego głucho walczyły ze sobą stronnictwa, już się wtenczas o buławę rwały sejmy, chcieli jéj Potoccy dla siebie, a Czartoryscy dla Poniatowskiego. Czartoryscy wtenczas wyrastali, zbierali się po cichu do walki, gromadzili siły. Xiąże wojewoda ruski wtedy się ożenił z ostatnią Sieniawską i Denhoffową, i urosł na pana, a był wprzódy chudym pachołkiem. Bez bogactw żony, nie mógłby potem przewodzić w Rzplitéj. Ożenieniem się swojem rozgniewał Potockich, którzy na Sieniawszczyznę już parol zagięli: Salezy ojciec Szczęsnego dostał tedy odkosza. Tak już dobrze przed rokiem 1733 rozwijały się wypadki, rodziły się namiętności, które potem postawiły oko w oko Salezych i Szczęsnych ze Stanisławem Augustem. Kiedy zaś Familja porosła w pierze za Augusta 3go i na własną rękę działać poczęła, zaczęła się epoka reformy. Fałszywie mówią, że do niéj dał hasło Konarski. Dawał je wprzódy Leszczyński. Ale kraj wyrabiał się też sam w sobie. Jeden prąd reformy, który u nas puścił Leszczyński i Konarski, dążył do wolterjanizmu, chociaż jeden i drngi o nim pewno nie myśleli; znali wolterjanizm ledwie ludzie postępowi z owych czasów; ci zrzucali kontusze i prawili o tolerancji dla wszystkiego, aby tylko nie dla Boga i kościoła; naród sam się gotował do wielkich przeobrażeń, sam w sobie. Mówią, że to wiek odrętwienia. A przecież możemy na palcach liczyć kilka, kilkanaście różnych systematów reformy politycznéj z owego czasu, i drukowanych i naszkicowanych tylko na piśmie, co doszły do naszych czasów. Taka konieczność reformy naszła na społeczeństwo polskie, że ci nawet co sprzeciwiali się głośno zapowiadanym reformom np. przez Familję, co bronili status quo, o zmianach marzyli. Niedochodziły sejmy, a przecież rwały się na projekcie powiększenia wojska, każdy albowiem i wielki i mały czuł, że od tego zacząć należy. Od tego również zaczął i sejm cztero-letni. Nie oceniona to dobrze epoka, nie znana, a byłać to przecie epoka nie uśpienia, ale największego wewnętrznego życia, chwila wielkiego ruchu narodowego. Niewidzialne to było życie, bo też leżało pod popiołem, ale wzrastało. Panowanie Augusta 3go nie będzie nam rozpowiadało tylko o zrywaniu sejmów, ale wspaniałą epopeję życia kiedyś rozwinie. Wszakże i to samo już starczy, żeby poznawać co to za epoka, że już ze wstąpieniem na tron Poniatowskiego, przychodzi do panowania w Polsce filozofja i wolterjanizm. O ścianę, o miedzę nie było widać tego. O miedzę jeszcze od tych czasów, nasi Polacy modlą się, biegną na odpusty, koronują Najświętszą Pannę, mają proroków-xięży, to jest missjonarzy wielkiego wpływu między narodem. Przed chwilą jeszcze xiądz biskup Wacław Sierakowski rozprawia serjo o duchach, pisze o nich.... A za minutę nastaje epoka, w któréj ze świecą w ręku szukać już nie xiędza, ale biskupa.

Otóż za panowania sasa Augusta 3go, wyrabiała się powoli filozofja w narodzie. Prąd to był Leszczyńskiego i Konarskiego i nic niemiał wspólnego z narodową myślą, która wyrabiała, wzmagała się na siły. Zawiązki niewiary idą jeszcze od Augusta 2go. Prymas Potocki wojował z xiędzem nuncjuszem Santino, o czem kiedyś rozszerzyliśmy się obszerniéj (Bibljoteka Warszawska 1855 Tom 4ty). W zapale walki, gdy nuncjusz obstawał za prawami Rzymu, Potocki rzekł, że trzeba miarkować gorliwość, bo ludzie już nie są tak zelosi pro religione: może, dla tego uprzejmie postępując, Potocki nie chciał nominacji na kardynała i cieszył się, że ma dosyć zaszczytu z równości szlacheckiéj w jakiéj żyje. Proces tego tajnego wyrabiania się prawie z przesądów i zabobonów, do najrozwiąźlejszéj niewiary, trwał przez całe trzydzieści lat za panowania ostatniego sasa. Wziął król jedno społeczeństwo, a zostawił następcy drugie. A już to samo świadczy, że to nie epoka grobu, ale wewnętrznych i silnych symptomatów.

Otóż wielką wagę mają wszystkie materjały historyczne, które nam ukazują tę epokę saską w innem świetle, jak ją dotąd widziano. Widziano ją zaś dla tego inaczéj, że nie poszukiwano, nie znano materjałów. Teka Podoskiego ztąd niezmiernie jest ważna. Zajmuje się właśnie tą epoką pozornego odrętwienia, bo oprócz kilku rzeczy uprzedzających rok 1717, głównie od téj chwili, to jest od sejmu niemego ciągną się tutaj „expedycje różne.“ Materjały tomu czwartego, który znamy, wkraczają już w epokę Augusta 3go i ciągną dzieje aż do r. 1740. Będą jeszcze dwa tomy.

Już to dyarjusze sejmowe są tutaj najpożądańsze, żebyć je tylko zebrać wszystkie. Niektóre są dosyć obszerne. Chociaż się sejmy rwały za sasów, ale jednakże obradowały za każdym prawie razem po kilka tygodni; były sejmy co dociągnęły nawet prawnego swojego terminu, to jest sześciu tygodni, i dopiero zerwały się w ostatniéj chwili przez złość albo upór. Prawo nasze nie uznawało prawomocności konstytucji uchwalonych na sejmach, które się nie skończyły; inaczéj, mielibyśmy i z czasów saskich dosyć obfite prawodawstwo. Chociaż jednak uchwały sejmowe unieważniały się zerwaniem obrad, dla historji materjał to zawsze wielki z tych dyarjuszów. Jeżeli prawo nie zyskało nic, zyskają zawsze dzieje. Wiemy o czem sejmy obradowały, widzimy jakie żywotne kwestje przychodziły na stół.

Po dyarjuszach zwracają na siebie szczególniejszą uwagę fakta wewnętrznego życia, historja rodzin, która w Polsce stanowi część znakomitą historji narodowéj. Zajście Radziwiłłów z Sapiehami o dobra neuburgskie, do których interessowały się potężne niemieckie dwory, zakończone wreszcie kommissją warszawską, istotnym sejmem w miniaturze, bo formy żadnéj tam niebrakowało, objaśniają wielce stosunki Litwy. Konferencje Rzplitéj z ministremi obcemi, kilka razy reassumowane i limitowane, wskazują na położenie Polski wśród rodziny europejskiéj. O sprawach kurlandzkich dużo. Ważne są dla historji kościoła szczegóły o losach religijnych Rusi, a raczéj o wielu osobach tego obrządku, czego dowód przywodziliśmy w szczegółach o Berle. Są tu poselstwa różne, i na sejmiki i zagranicę. Są ślady ambicji powiatowych i górniejszych i t. d. Zresztą, nie potrzebujemy rozszerzać się o tem zbytecznie, inaczéj rejestra przepisywaćby nam wypadało. W szczegóły zaś, by wykazać dowody na to, cośmy ogólnie o téj epoce i jéj znaczeniu powiedzieli, nie możem się wdawać przy potocznym przeglądzie i zresztą właściwsze to byłoby gdzieindziéj.

Dnia 26 czerwca 1858 roku.

Juljan Bartoszewicz.

DONIESIENIA.

PRZYJECHALI DO WARSZAWY.

Borzysławski Adolf ob. z Dąbrowy nr 625, *Benisławski* Bron. ob. z Dynaburga nr 634, *Celiński* Konst. ob. z Paprotni nr 601, *Dzierżanowski* Jan ob. z Pilicy nr 1392, *Grotowski* Wład. ob z Załusk nr 600, *Kraszewscy* Emiljan i Piotr ob. z Kobrynia nr 634, *Michałowski* Stani. ob. z Lublina nr 634, *Malinowski* Hen. ob. z Smrocka nr 476, *Radoliński* Stan. ob. z Złotnik nr 414, *Rychłowski* Henryk obyw. z Broniewa nr 603, *Tański* Tom. ob. z Miłoszewa nr 586, *Zaborowski* Mich. ob. z Kuchar nr 584, *Moniuszko* Stani. artysta muzyki z Paryża nr 634, *Zmorski* Roman ob. z Wiednia nr 625.

WYJECHALI Z WARSZAWY.

Stojowski Hipo. sędzia pokoju do Krasocina, *Sicheń* Tad. ob. do gub. Grodzieńskiéj, xiądz *Sierakowski* Anicet prowincjał zgromadzenia OO. Kapucynów do Nowego Miasta, *Zaborowski* Teodor ob. do Zaborowa, *Dembowski* Leon ob. do Karlsbad, *Olizar* Kar. hr. do Paryża, *Scisłowska* Zofia żona assesora kolleg: do Karlsbad, *Studziński* Karol artysta muzyki do Krakowa.

—

— Wczoraj odpłynęło na dół rzeki Wisły statkiem parowym *Pilica* osób 35.

— W dniu wczorajszym przyjechało do Warszawy koleją żelazną osób 329, wyjechało 401.

TEATR WIELKI. Jutro: *Hugonoci*.

W drukarni J. Ungra.— Wolno drukować. — Warszawa dnia 2 (14) Lipca 1858. — Starszy Cenzor, F. *Sobieszczański*.